Czy warto wrócić do Polski? Tak, ja wróciłam!

Najkrócej rzecz ujmując wróciłam, bo chciałam i bo mogłam. Jeden z tych warunków to za mało. Muszą by spełnione oba. Są ludzie, którzy chcieliby wrócić, ale nie mogą i tacy, którzy mogliby wrócić, ale nie chcą. Jest i trzecia grupa, ta, która z takich czy innych powodów musi wrócić. Ktoś musi wrócić, bo mu się definitywnie nie ułożyło tam, gdzie był, bo ma jakieś zobowiązania w Polsce, albo bo został odstawiony chciał czy nie… Tak czy tak zadziałała siła wyższa. O tych nie mówię, bo ich powrót nie jest ich aktem woli. Ja, jako się rzekło, chciałam i mogłam.

Chciałam, bo ogólnie rzecz biorąc zawsze lubiłam (i lubię!) robić co chcę i to bez względu na to, co się na ten temat powszechnie sądzi: „emigruje się w jednym kierunku, do tzw. ‚lepszego' świata, a nie do ‚gorszego'". Ja tak nie uważam (a choćby 10 lat temu zastanawiałam się, czy nie pomieszkać sobie na Borneo, a tam na pewno nie ma lekko, ale nie to mnie powstrzymało… i to nie był mój jedyny pomysł w tym ‚odwrotnym' kierunku…).

Mogłam, bo nie byłam niczym uwiązana, ani kredytem, ani pracą, ani miłością, ani dziećmi… Kolejność nieprzypadkowa, wyjaśnię w odwrotnej, czyli tej od najbardziej wiążącej: dzieci nigdy nie chciałam, więc i nie mam, miłość mi się akurat skończyła, więc żadne uczucia mnie nie trzymały, zawód mam wolny, więc mogę go uprawiać tam, gdzie akurat jestem, a kredytów nie biorę, wręcz przeciwnie, mam oszczędności i dochody.

Te cztery punkty powodują, że ani chybi należę do mniejszości, więc moje doświadczenia pewnie większości się nie przydadzą. Ale może ktoś jednak z nich skorzysta? Na przykład w tym sensie, że czyjeś zdanie na temat naszej sytuacji jest jego sprawą a nie naszą? I nie musimy się z tym liczyć!? Ludzie często uważają, że coś trzeba, nie trzeba, wypada, nie wypada, robi się, nie robi się… ze swojego punktu widzenia… i projektują to na nas. Niech sobie projektują, Bóg z nimi.

Myśląc jak ja można o wiele więcej (oczywiście pomijając kwestię naruszania prawa, do czego nie namawiam, bo w więzieniu można znacznie mniej). Człowiek jest wtedy wewnętrznie wolny. I o to chodzi. Z tej pozycji podejmuje się decyzje niezależnie i na własną odpowiedzialność. Nie wszystkim wszak o to chodzi, ale mnie tak (przeczytajcie „Ucieczkę od wolności" Ericha Fromma, a będziecie wiedzieć, co mam na myśli, jednych wolność ciągnie, innych odpycha, tych drugich jest więcej)!

Skąd mi się to wzięło? Ha, może z gwiazd!? Urodziłam się pod znakiem Strzelca, a to najbardziej wolny znak Zodiaku. A ja na dobitek jestem tzw. podwójnym Strzelcem (znak i ascendent), ma to swoją wagę, in plus i in minus… Ale że macie pełne prawo nie wierzyć we wpływ gwiazd na nasze życie – ja też przeważnie nie wierzę – pozostają wpływy ziemskie. U mnie były to: dom rodzinny, książki i filmy.

No, i szczęście. Dużo szczęścia. Nie fart, ale szczęście, bo fart to może spotkać nawet ślepą kurę, a szczęście spotyka człowieka przygotowanego. To kardynalne rozróżnienie. Bo w gwiazdy może i nie wierzycie, ale na pewno w 13 wróżek! Tych, które się nad kołyską pochylają i każda tam coś od siebie daje…

Jednym słowem każdy człowiek jest na swój niepowtarzalny sposób pod wieloma względami zdeterminowany. Pod względem miejsca i czasu urodzenia, sytuacji rodzinnej, ale także cech indywidualnych, każdy ma jakiś swój potencjał do rozwijania. Największe z możliwych szczęść – wedle mojego rozeznania – to splot sprzyjających warunków i bodźców, żeby stać się tym, czym człowiek może się stać zgodnie ze swoim przeznaczeniem (tu przeznaczenie należy rozumieć jako pozytywną metaforę, nic na wiarę!).

Moim zdaniem to właśnie o to w życiu chodzi najbardziej. Nie mówię tego z palca. Rok 2013 to 60. rok mojego życia – skończy się 14 grudnia – i do niektórych prawd już doszłam. Przynajmniej swoich. A ponieważ coraz częściej wy, moi Czytelnicy, jesteście ode mnie młodsi, czasami i o połowę, ba, i więcej, i więcej… więc być może szukacie pewnych wskazówek. Dokładnie jak ja kiedyś szukałam. Opowiem wam coś o sobie, a wy sobie z tego wybierajcie, co wam się podoba.

Niedawno zrobiłam sobie pewne mentalne ćwiczenie, czy chciałabym się z kimkolwiek na świecie zamienić na życiorys? Otóż nie, nie chciałabym! Jestem rzadkim przypadkiem (jak mi się zdaje?) człowieka na wskroś zadowolonego ze swojego życia. Choć jeszcze niejednego się spodziewam i o niejednym marzę, mogłabym już teraz umrzeć i powiedzieć, że moje życie mi się podobało. Z całym jego bagażem.

Zróbcie sobie takie ćwiczonko wyobrażając sobie siebie w moim wieku (mniej więcej). Rzecz w tym, żeby wiedzieć, kim chcielibyście być najbardziej. Czy patrząc wstecz staliście się tym kimś właśnie? Czy wyjazd z Polski coś wam dał, czy może zabrał? Czy lepiej było zostać, wrócić, a może jeszcze lepiej być raz tu, raz tam, raz jeszcze gdzie indziej? Gotowi? To czytajcie!

Człowiek jest tym samym człowiekiem całe swoje życie, gdy jest dzieckiem, jest człowiekiem małym, gdy dorośnie, jest dużym, gdy się zestarzeje, jest człowiekiem starym. Ale ciągle jest tym samym człowiekiem. Innym nigdy nie będzie. Wcielenie mamy jedno, zmieniamy się w jego ramach (czasami dramatycznie, bo i choroby, i wypadki też mogą się zdarzyć).

To ważne, bo wielu ludzi widzi się jedynie w wąskim przedziale czasowym, w aktualnie dziejącym się teraz, dzieckiem byli kiedyś i dawno już tego nie pamiętają, na zdjęciach widzą siebie-dziecko, ale tego nie czują, zaś człowiekiem, jakim będą kiedyś, nie są i dlatego nie myślą o tym, nawet jeśli czasami wyobrażają sobie siebie postarzonego. Ale nie wyobrażają sobie swojej świadomości w przyszłości. A w każdym razie o wiele rzadziej, niż siebie z wyglądu.

Tymczasem człowiek jest w całym czasie, który jest mu dany do przeżycia, tym samym człowiekiem, choć zewnętrznie i umysłowo nie takim samym. Dla ułatwienia można to sobie tak wyobrazić: człowiek jest jak szpula „żywości" kręcąca się w czasie. Mamy więc materię (szpula) + żywość (pojęcie przeze mnie wymyślone opisujące inteligencję będącą emanacją materii, w przeciwieństwie do historycznie wcześniejszego ducha i ludzkiej jedynie duszy mają ją wszystkie żywe istoty) + czas (jako niezbędny wymiar, w którym dzieje się wszystko to, co dzieje się z żywą istotą, czyli – oprócz tego, że procesy między- i wewnątrzatomowe jak we wszelkiej materii, również to, co stanowi o życiu istot żywych, istot w najszerszym tego słowa znaczeniu, choć wirusy czy jednokomórkowce zostawmy, rośliny i grzyby też, to inna inszość, która nas tu nie obchodzi – procesy żywościowe, czucie, myślenie, rozumienie, przy czym te trzy cechy „żywości" są linearnie rozłożone od istot jako tako złożonych po człowieka).

Tłumaczę to tak dokładnie, bo ja tak właśnie siebie postrzegam i traktuję. Jako istotę wpisaną w cały ten czas, który jest mi dany (oczywiście gdyby mnie jako zarodek zniszczono, to by mnie nie było i tyle, nie mam z tym problemu). Nauczyłam się tego już we wczesnej młodości, kiedy to zaczytywałam się w różnych powieściach science-fiction, a najbardziej lubiłam te, w których czas odgrywa istotną rolę (od „Wehikułu czasu" H.G. Wellsa poczynając, a na różnych Lemowych wariacjach czasowych kończąc). Tak, czas jest nie tym czymś, co każe nam się śpieszyć, bo się spóźnimy, i co nam umyka, a czymś, co jest nam dane i jest w całości nasze.

To pierwsze, co jest zupełnie, ale to zupełnie inaczej w moim życiu, niż w ogólnie przyjętym rozumieniu czasu. Zwróćcie uwagę, jak nasz język to oddaje. Mówimy, że „czas mija", choć czas jest cały czas, czas sobie trwa, jeśli coś mija, to stan czegoś w czasie. Mówimy „za moich czasów" mając na myśli czas młodości, jakby czas późniejszy nie był już całkiem nasz. Tymczasem czas jest zawsze mój, jak długo żyję.

To dlatego każde kolejne urodziny obchodzę coraz bardziej radośnie. Każdy, kto mnie zna, to wie. Bo przecież mogłabym nie dożyć. Mój czas by się skończył a moja świadomość przestała istnieć. Nie wchodzę tu w wiarę w życie pozagrobowe. Na moje rozeznanie nie ma czegoś takiego. Gdyby się jednak nagle okazało, że jest, to się do tego ustosunkuję w odpowiednim czasie. Póki co wierzę w życie przed śmiercią. Mało tego, żyję w przekonaniu, że całe jest moje.

Druga sprawa, na którą się inaczej zapatruję, niż każe obyczaj, to moja pozycja w świecie. To znaczy miejsce, gdzie się akurat znajduję (do pozycji społecznej jeszcze wrócę). Otóż gdziekolwiek bym się nie znajdowała, stoję na czubku ziemi mając ją całą pode mną. Lubię o tym stale pamiętać, a gdy czasami zdarzy mi się zapomnieć, to podnoszę głowę i ustawiam się w kosmosie: ja na czubku ziemi, nade mną on, cały wszechświat. No, i znowu czuję się dobrze.

Trzecia, to coś, co muszę wam zilustrować pewnym przeżyciem. Otóż płynęłam kiedyś na łodzi przez Atlantyk z Bermudów w stronę Azorów (to ten gorszy kierunek, lepszy jest na zachód, bardziej na południe, zgodnie z pasatami). Razem z moim wtedy mężem-żeglarzem, nie była to ani nasza pierwsza żeglarska podróż, ani ostatnia, ale była o tyle inna, że ocean dał nam naprawdę nieźle popalić. Byliśmy wykończeni pierwszymi dniami i nocami, bo burza nas wyszarpała, fala wytłukła.

I w pierwszą spokojną noc trzymaliśmy wachtę na zmianę by w końcu móc się wyspać jak człowiek. Mój mąż spał a ja już wyspana siedziałam w cockpicie i patrzyłam w niebo (oczywiście ster trzymał autopilot). Sama nocą na środku oceanu. Pode mną pulsujące masy czarnej wody. Nade mną „niebo gwiaździste". Coś pięknego!

I wtedy sobie uświadomiłam, że wcale nie jestem jakimś tam nic nie znaczącym pyłkiem wobec wszechświata. Jestem potężnym umysłem, który ten wszechświat przez tyle miliardów lat w nieustannym kręceniu się ukręcił. Tyle materii i tyle czasu trzeba było, żebym mogła się pojawić i na to spojrzeć. Poczułam się niezwykle. Poczułam absolutną jedność z całym uniwersum. I to poczucie już mi zostało.

Czwarte coś również muszę zilustrować przeżyciem. W grudniu 1993 roku zbliżały się moje czterdzieste urodziny.

Miało być hucznie. Wynajęliśmy z mężem stateczek na przystani na jeziorze (mieszkaliśmy wtedy bardzo blisko jeziora zuryskiego). Ale 6 grudnia rano dostałam telefon, że zmarł mój tato. I kilka dni później zamiast przygotowywać urodziny stałam nad jego otwartym grobem gdzie właśnie spuszczano trumnę. Kto coś takiego ma już za sobą, wie, że człowiek najchętniej sam by się dał pogrzebać.

I wtedy spojrzałam wokół siebie, na tych wszystkich ludzi, którzy go żegnali, na siostry, na zapłakaną mamę… A potem na resztę cmentarza. Na groby dookoła. I przestało mi być tak okropnie. Przecież cały cmentarz Rakowicki był pełen grobów ludzi, którzy żyli. Żyli i umarli. Gdyby nie to, że żył też mój tato, nie byłoby mnie. Poczułam to całą sobą. To mnie wzmocniło. Kiedy 13 lat później żegnałam w tym samym miejscu mamę, już wiedziałam, jak to się odczuwa. Tak właśnie, jestem jej bezwzględną kontynuacją, bez niej nie byłoby mnie. To tylko o jeden odcinek dalej ruch wszechświata. Małe drgnięcie w tym przepastnym koglu moglu bez początku i końca. Tato, mama, ja…

Ja. Gdy byłam mała, byłam święcie przekonana, że dorosłość to ostateczne zmądrzenie. Że na tym to właśnie polega. Do dziś pamiętam we mnie to przekonanie a potem rozczarowanie, że tak nie jest. Ja właśnie do tego dążyłam. Czytałam książki i myślałam, że jeszcze tylko trochę, a dowiem się wszystkiego. Nie dowiedziałam się i tym jestem, nie powiem, ogólnie zdegustowana.

Ale do tego dążyłam. Najpierw nieświadoma, że tak nie jest, a potem świadoma, ale co z tego? Nic innego nie jest tak ciekawe, jak poznawanie. To mnie gnało. Do księgarń, do bibliotek, do oglądania filmów i sztuk teatralnych, do ludzi, którzy mogli być mi pomocni. A że przez to i ja stawałam się coraz bardziej interesująca, to i ludzie, których poznawałam, też byli coraz ciekawsi. W niektórych się nawet zakochiwałam. Na całe szczęście zwykle z wzajemnością.

Ale nawet jeśli zdarzyło mi się zakochać w powietrze, to i to warte było przeżycia. W każdym razie los był dla mnie szczodry i stawiał na mojej drodze ludzi niezwykłych. Czasami geniuszy. Czasami byli to już dawno nieżyjący pisarze lub wynalazcy, muzycy lub artyści. Czasami ludzie żyjący. Czasami wewnątrz mojej orbity. Trzech z nich zostało moimi mężami. Kilku kochankami. Wszyscy byli dla mnie bardzo ważni. I wiem, że ja dla nich.

Gdy słyszę, że ludzie najpierw są ze sobą, ba, nawet mają wspólne dzieci, a potem na siebie nadają, to muszę powiedzieć, że to zupełnie nie mój świat. Widocznie żyję w jakimś innym. Ja na ludzi, którzy byli częścią mojego życia, nie dałabym powiedzieć złego słowa. Są częścią mnie. Nadal. Bez nich nie byłabym mną.

Tak, tak, wiem, miało być o „emigracji”. Ale teraz już wiecie. Nigdzie nie emigruję. I nigdy nigdzie nie wracam. Gdziekolwiek jestem, tam jestem w swoim świecie. Całym. I w czasie, który do mnie należy. Jak moja głowa. Umysł znaczy. I z wami jest tak samo. Od siebie nigdzie nie wyemigrujecie. Gdziekolwiek się nie znajdziecie, świat jest okrągły, a wy go przemierzacie. Wrócicie do punktu wyjścia, znajdziecie się w innym czasie, a więc może i w tym samym miejscu, ale nie w takim samym. To nowa sytuacja. A i wy inni o wszystko co po drodze przeżyliście. Ale to właśnie jest wasze.

Trzeba sobie to tylko uświadomić. I wiedzieć: co jest dla mnie ważne. Ten „Drang nach Westen” może być wasz,

ale może być też narzucony, „bo wszyscy jadą”. Jeśli jest wasz, to bądźcie tam tak długo, jak długo się dobrze czujecie. Albo spróbujcie zmienić kierunek, i, jak tu ktoś napisał, wyjechać na wschód. Wypasać owce na pastwiskach Kaukazu. To może być 1000 razy lepsze, niż odmóżdżająca praca w korporacji. Chyba że akurat takiej chcecie.

Tęsknota? Tak, ale tęsknota należy do życia. Jeśli jest przemożna, jest siłą popychającą do zrobienia czegoś, żeby jej ulżyć. To jej dobra strona. Jeśli nic nie robicie a tęsknota się zwiększa, zachorujecie. Pytanie czy warto.

W każdym społeczeństwie trzeba się jakoś w nim znaleźć i jakoś sobie życie ułożyć. Jeśli ważna jest dla was pozycja społeczna, a przecież jest, to w każdym nowym miejscu, również w tym, do którego po jakimś czasie wrócicie, musicie ją sobie wypracować. Dobrze, ja wyszłam za mąż za Szwajcara, a on miał całkiem fajnie, mogę więc powiedzieć, że miałam lądowanie jak na kołdrze puchowej. To prawda.

Tym bardziej, że był poliglotą, nauczenie się języka polskiego to była dla niego przyjemność. Ale ja chciałam z nim wyjechać gdzieś, gdzie oboje moglibyśmy coś razem całkiem od nowa zacz□ąć, żebym nie musiała się wpisywać w jego „gotowy scenariusz”. Myśleliśmy o jakimś egzotycznym kraju, w Azji, w Afryce, w końcu już, już, w Ghanie. To nam nie wyszło, bo jednak było zbyt szalone, nawet jak na lata 70.

Więc co robić ze sobą na tej puchowej kołdrze? A choćby i pod nią? Miałam swojego Pigmaliona… i mieszkanie pełne książek w językach, których nie znałam. Pozostała mi tylko muzyka, sztuka i… matematyka. No, i czy ja nie jestem szczęściara? Ale o tym już w następnym odcinku.

* * *

http://powrotnik.eu/index.php/czy-warto-wrocic-do-polski-tak-ja-wrocilam/